

KAMENIA WIMCINA

LUBLIN

31.VII.1962

Nr 14 (252)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

ZIELEŃ I CZERŃ

MAREK ADAM JAWORSKI

MOSKWA. Światowy Kongres na Rzecz Rozbrojenia i Pokoju. Doniosłe przemówienie szefa państwa radzieckiego, N.S. Chruszczowa.

Wyspa JOHNSTON na Pacyfiku. Amerykański wybuch termojądrowy na wysokości kilkuset kilometrów.

Są sprawy, wobec których ŻADEN człowiek na kuli ziemskiej nie może pozostać obojętny. Wyścig zbrojeń trwa. Dzień w dzień pochłania on sumę 350 milionów dolarów. Rocznie 120 miliardów dolarów kosztują bomby wodorowe, atomowe, rakiety, samoloty, czołgi, łodzie podwodne itd. itd. Na jednego mieszkańca naszego globu, a więc na ciebie i na mnie, na twoje i na moje dziecko, przypada po 80 ton materiałów wybuchowych. Na samą myśl o tym można zwariować!

Ponad 2 tysiące delegatów, przedstawicieli 117 krajów, spotkało się w Moskwie. Mają oni różne przekonania polityczne, różne poglądy, spojrzenia. Jednomyślni są w jednym: trzeba uczynić wszystko, aby uchronić pokój.

Pierwsza wojna światowa pochłonięła 12 milionów ofiar. Druga już 55 milionów. Ci, którzy ją przeżyli, jeszcze dziś mają w oczach upiorną wizję spopielonych miast. Są i tacy, którzy ciągle nerwowo reagują na warkot samolotu... A przecież to nie była wojna, ale zabawa w wojnę! Można tak powiedzieć uzmysłowiając sobie, jaka jest siła, tragiczna siła niszczenia, zmagazynowana w JEDNEJ stumegatonowej bombie wodorowej. Przewyższa ona (OWA JEDNA BOMBA!) pięciokrotnie siłę WSZYSTKICH środków wybuchowych, użytych w czasie drugiej wojny światowej.

Ludzkość ma dziś dwie drogi: pokojowe współistnienie, albo dalszy wyścig zbrojeń, który może tylko zaprowadzić świat na skraj przepaści. W atmosferze strachu, nieufności, nuklearnej katastrofy może nawet nastąpić zupełnie przypadkowo. Trzecia wojna światowa mogła wybuchnąć 24 listopada 1961 roku. To nie jest makabryczny żart! Tego dnia generał Power, dowódca strategicznego lotnictwa Stanów Zjednoczonych, na skutek błędnie odebranego sygnału przez stację radiolokacyjną wchodzącą w skład systemu obrony powietrznej USA, dał samolotom rozkaz startu i lotu w kierunku ZSRR. Bombowce miały na pokładzie broń jądrową. Prasa amerykańska nie ukrywała, że w 100 bazach lotniczych ogłoszono alarm. 750 maszyn było gotowych do akcji. Gdyby wystartowały i gdyby nie zawrócono ich z drogi, dyplomatom pozostałoby tylko milczenie. Nie wiadomo nawet, czy historia zanotowałaby, że to był PRZYPADEK. Historię tworzą przecież ludzie. I ludzie piszą też podręczniki.

(Dokończenie na str. 2)

28 LIPCA 1962 R.
W 150 ROCZNICĘ URODZIN
ZOSTAŁO OTWARTE W DWORZE KRASZEWSKICH
W ROMANOWIE PODLASKIM

MUZEOUM JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO



Józef Ignacy Kraszewski Autoportret 1844 R.
Zbiory Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Wioska

Fragment

Rodzinny kąt! wiosko urodziwa!
Po latach tylu ciszy w twym objęciu,
Żegnaj Cię matko sędziwa,
Błogosław Twemu dziecięciu!

Widziałem ja Cię różną: Gdyś oczy otworzył,
Pomnę, las był dokoła, szumiły mi jodły.
O! jeszcze w sercu szumią, i starym bym ożył
Gdyby mnie losy w kąt ów spokojny zawiodły!

Zielone były łąki, a oko ciekawe
Biegąc w koło, gdzieś w czarnych gubiło się lasach,
I wracało na kwiaty i zieloną trawę,
Wszystko mi jeszcze kwitło w tych szczęśliwych czasach!

Cały świat był tu dla mnie, o inny'm nie marzył
Jodły cuda szumiły... przyszedł dzień rozłąki,
Ogród na pożegnanie pleśń jakąś zagwarzył,
Raz ostatni zakwitły i gaje i łąki,
Jam niecierpliwą nogą w świat skoczył bezdenny,
Gdzie mnie czekał wicher zimy i pomrok jesienny.

JUŻ w połowie lipca mieszkańcy Rzeszowa codziennie naocznie mogli się przekonać, że odwrót armii niemieckiej jest w pełnym toku: ze wschodu na zachód nieustannie mknęły sznury aut i pociągów, z głogowskich lasów masowo, nie tylko na wschód, ale i na zachód wywożono amunicję. Z samego Rzeszowa wyjeżdżały firmy, ewakuowano magazyny, urzędników niemieckich itd. Radość mieszała się z obawą, że może dojść do bitwy, a jakie byłyby tego skutki... bano się nawet myśleć. Wiele rodzin polskich też opuszczało miasto, przenosząc się do okolicznych wsi. Pozostający pocieszali się tym, że na przedpolu miasta nie budowano umocnień obronnych, co koło Dębicy miało miejsce już od jesieni 1943 roku.

WYZWOLENIE RZESZOWA

FRANCISZEK KOTULA

Wreszcie... zaczął dochodzić głuchy huk strzałów armatnich, których słuchano jak najpiękniejszych słowiczych treli. Nasilały się z każdym dniem... przy ich akompaniamencie miasto opuściły zniechęcone władze okupacyjne, zabierając również więźniów politycznych. Natomiast zagęszczały się oddziały Wehrmachtu, które na lewym brzegu Wisłoka, na skarpach wysokiej terasy poczęły pospiesznie sypać okopy i budować umocnione stanowiska, zmuszając zresztą do tego cywilną ludność, wyłapywaną w obławach.

Frontalnego ataku Armii Radzieckiej na Rzeszów nikt cokolwiek obeznany z wojną nie spodziewał się. Na całej przestrzeni miasta, począwszy od Lisiej Góry aż poza Pobitno, Wisłok płynie stosunkowo wąskim, ale głęboko wyłobionym korytem, wykluczającym możliwość przejścia broni pancernej. Poza tym liczne, murowane zabudowania dawały nieprzyjacielowi doskonałe warunki obrony. Zaś dowództwo wojsk radzieckich niewątpliwie było przekonane, że Niemcy zniszczą most na Wisłoku. Tedy należało spodziewać się uderzeń na skrzydła, zarówno od północy, jak i południa.

Oddziały radzieckie, mimo niemieckiego oporu, posuwały się szybko. Bywało, że silniejsze patrole wbijały się daleko w zaplecze wojsk niemieckich. Wszędzie nawiązywały z nimi kontakty polskie oddziały partyzanckie, to informując o ruchach i zgromadzeniach wspólnego wroga, to ostrzegając przed niebezpieczeństwem lub też przeprowadzając oddziały radzieckie jeszcze dalej na jego tyły. Lotnicy niemieccy, nie mając nigdy pewności — która miejscowość jest jeszcze w rękach niemieckich, a która już nie, wielokrotnie bombardowali swoich, jak to było w Głogowie. Stosując te same metody, co i w roku 1939, bombardowali i ostrzeliwali osiedla.

Sokołów, najdalej wysunięty bastion w kierunku północno-wschodnim, zo-

(Dokończenie na str. 10)

(Dokończenie ze str. 1)

Pokoje współistnienie nieodłącznie wiąże się z powszechnym i całkowitym rozbrojeniem. Idea, rzucana w ONZ przez premiera ZSRR, nie umarła śmiercią naturalną. Ludzkość ma dość wizji termojądrowego kataklizmu. Z tym faktem musiały pogodzić się nawet najbardziej zaślepione rządy. Obrady „osiemnastki” w Genewie rzuciły jakiś jaśniejszy promień światła na ponurą rzeczywistość. Promień ów szybko jednak przybladł, gdy okazało się, że Genewa jest dla niektórych tylko parawanem, za którym można nadal kontynuować atomowy szantaż.

Imperializm jest niezwykle tępy uczeń. Przypomina konia z czarną opaską na oczach. Imperializm nie chce się liczyć ze współczesnością, nie chce się pogodzić z faktem, że na arenie dziejów wkroczyła nowa siła — socjalizm. Obóz państw socjalistycznych nie ulegnie się jednak żadnego szantażu. Zmuszony przez imperializm do umacniania swego potencjału obronnego, nie pomija okazji, by wskazywać na absurdalność sytuacji i szukać dróg prowadzących do zwycięstwa rozsądku.

NASZE propozycje, złożone w Genewie, zakładają, że już w pierwszym etapie rozbrojenia trzeba zlikwidować wszelkie środki służące do przenoszenia broni nuklearnej. Bomby atomowe nie można zmieścić w kieszeni. Do jej zrzucenia potrzebna jest rakiet, bombowiec, artyleria atomowa. Szkoda tego sprzętu? Droższe jest życie, wielowiekowy dorobek całej ludzkości.

Amerykanie odpowiadają: zniszczmy 30 procent rakiet, bombowców etc. 100 minus 30 jest 70. O tym wie każde dziecko. Owe 70 proc. z powodzeniem wystarczy do rozpętania awantury, w niczym nie usunie widma wojny, w gruncie rzeczy nie się nie zmieni, niebezpieczeństwo ani o krok się nie oddali. Dyskusja trwa. A w każdym dniu tej dyskusji przybywa rakiet, samolotów, bomb.

Wrocie radiostacje trąbią: kraje socjalistyczne nie chcą zgodzić się na kontrolę! Panowie, nie przeinaczajcie faktów! Godzimy się na każdą kontrolę, jeżeli wy godzicie się na POW-SZECHE I CAŁKOWITE rozbrojenie. Ale nie godzimy się i nie godzimy się na kontrolę nad ZBROJNIAMI. Nie zgodzimy się, bo nie chcemy zachęcać agresorów do niespodziewanej napaści. Będzie ona tym łatwiejsza, jeśli przeciwnik pozna położenie

żenie wszystkich baz, z których nastąpiły ewentualne kontrataki.

Ktoś kiedyś powiedział, że obecnie lepiej sto lat dyskutować niż jedną sekundę wojować. Może cytował nieosłupniałem, być może chodziło nie o sekundę, ale minutę, to mało ważne. Niemniej państwa socjalistyczne z niezwykłym uporem, cierpliwością roją z Zachodem, szukają zbliżonych punktów w sprawach wielkich i małych, z pozoru nie mających niekiedy nawet większego wpływu na sytuację ogólnoswiatową. Ale uregulowanie tych mniejszych czy średnich spraw stworzy KLIMAT do dalszych rozmów.

W czasie dzielącym nas od zakończenia drugiej wojny światowej zagasiły się wiele ognisk zapalnych. Zbyt świeża to historia, aby o tym wszystkim przypominać. Ale ważny chociaż najaktualniejszy sprawę: Laos. Udało się? Udało. Na pewno będą tam się jeszcze piętrzyć różnego rodzaju problemy, ale najważniejszy krok został zrobiony. Świat dostał zastrzyk optymizmu. Chorego nie można jednak leczyć metodą zastrzyków optymizmu i walenia po głowie. A takim uderzeniem była przecież amerykańska eksplozja nuklearna w kosmosie.

Bolesław Wójcicki w komentarzu na ten temat zamieszczonym w „Trybunie Ludu” przypomniał znany mit o Pandorze, która przez zwykłą kobiecą ciekawość rozwarła tajemniczą puszkę i wypuściła na świat nieszczęścia i strapienia gnębiące odtąd ludzkość. Militaryści amerykańscy, dokonując 9 lipca 1962 roku pierwszej eksplozji wodorowej w przestrzeni pozaziemskiej, uchyliłi — wcale nie przez naiwną ciekawość — wieko puszek, które zawartość może się okazać tragiczną. Trzeba ją zatrzasnąć w imię życia na ziemi — zbiorowym protestem wszystkich narodów świata.

Takim protestem jest również Światowy Kongres na Rzecz Rozbrojenia i Pokoju w Moskwie.

„Niech głos Kongresu — powiedział N.S. Chruszczow — zabrzmi nad całym światem i natchnie nowe dziesiątki milionów ludzi do zdecydowanej, ofiarnej walki o trwały pokój na ziemi”.

Jeszcze nie jest za późno, by zawrócić z drogi prowadzącej w ciemność. Drzewa muszą pozostać zielone, niebo niebieskie. I my, ludzkość, dziś i jutro żyjąca pod tym niebem...

Szczecin

Marek Adam Jaworski

CONGRES MONDIAL
POUR LE
DESARMEMENT GENERAL

LA PAIX
MOSCOU 1962

Z PERSPEKTYWY 18 LAT

CECYLIA BŁOŃSKA

Pierwsze gazety w wyzwolonym Rzeszowie wydawane były na wzór „pism ulotnych”. Młode miasto wojewódzkie, nie przystosowane bynajmniej do swej nowej roli ośrodka władz administracyjnych, nie posiadało również żadnej prawej bazy technicznej, poza ocalałą małą drukarnią na tzw. ręczny skład. Nie posiadaliśmy papieru do drukowania gazet, poza wyszperanymi tu i ówdzie resztkami kolorowych arkuszy, których okupant nie zdążył już zadrukować swymi okrutnymi zarządzeniami.

Nie dysponując materialnym zapleczem, mieliśmy jednak rzecz znacznie cenniejszą: zapał, chęć pokonywania przeszkód, spore grono ludzi, zdolnych redagować gazetę z prawdziwego zdarzenia. Był to okres, kiedy wojna, nie zakończona jeszcze, zatrzymała w naszym mieście wielu często wybitnych ludzi pióra, artystów, plastyków, muzyków, radiowców, którzy chętnie włączyli się w nurt życia wyzwolonego miasta, w pierwsze gorące dyskusje, w pierwsze prace. Byli też wśród nich dświadczeni fachowcy dla spraw rolnictwa i ich artykuły drukował przede wszystkim „Biuletyn Reformy Rolnej”, którego pierwszy numer ukazał się dnia 17 listopada 1944 roku. Przyznaję on na pierwszej kolumnie wiadomość zatytułowaną: Nowe władze woj. rzeszowskiego, „Biuletyn Reformy Rolnej”, dziś dokument historycznych przemian dokonanych przez władzę ludową, drukował najświeższe wieści z przebiegu podziału obszarów ziem. Często też jego tytułowa karta czarna się obwodziła żalobnej klepsydry. To rzeszowskie społeczeństwo oddawało cześć pamięci działaczy poległych na posterunku, którzy, jak Stanisław Rejman, ginęli zamordowani skrytobójczo przez faszystowskich bandytów, niedobitków reakcji. Gruntowanie nowego ładu toczyło się w atmosferze ostrej walki klasowej, w czasach (które coraz barziej przecież idą w niepa-

mię), gdy w wyzwolonym Rzeszowie obowiązywała jeszcze godzina policyjna, gdy sojusznicze armie szły na Berlin.

Sledząc dziś, z perspektywy 20 lat bez mała, kolejne numery „Biuletynu Reformy Rolnej”, znajdujemy w nich dzieje parcelacji na rzeszowszczyźnie szczegółowo udokumentowane: wleści z Brzozowa, z Przeworska, z Mielen, Sanoka, Łańcuta, Krosna, Tarnobrzega, z powiatu przemyskiego. A równocześnie są i relacje o gospodarskich poczynaniach chłopów — nowych gospodarzy poobszarniczych ziem. Czytamy, iż w Czudcu chłop dokładał wszelkich starań, by zasłać pola w terminie, iż synowie rzeszowskich chłopów idą do Wojska Polskiego, że na poobszarniczych ziemiach powstają rolnicze spółdzielnie itp. itp.

Inne czasopismo wyzwolonego Rzeszowa to popularny „Biuletyn Informacyjny”, który także dziś moglibyśmy określić jako pismo ulotne, wydawany z powodu braku papieru na różnokolorowych kartkach, przynosił najświeższe wiadomości ze wszystkich frontów, uzyskane drogą radiowego nasłuchu. W numerze 49, z dnia 1 maja 1945 roku, „Biuletyn Informacyjny” nad swym tytułem nosił napis: „Śmierć niemieckim najeźdźcom”, a przez tytułową stronę biegł nadruk „Niech żyje 1 Maja — dzień mobilizacji sił obozu demokratycznego do ostatecznego zwycięstwa nad hitleryzmem”.

„Biuletyn Informacyjny”, do którego przystawialiśmy polityczne komentarze na gorąco, którego błyskawiczne kolegia odbywały się przeważnie w Wojewódzkim Urzędzie Informacji i Propagandy, publikował przebrzmiałe może dziś, lecz wówczas świeże i pełne treści hasła jak to: W starej Polsce obiecali, w odrodzonej ziemi dali. W „Biuletynie” wiele było informacji bieżącej o działalności Polskiej Partii Robotniczej.

W lutym 1945 roku zaczął w Rzeszowie wychodzić tygodnik „Gazeta Rzeszowska”, początkowo czterostrońnicowa, a następnie 16 stronni mająca gazeta. W numerze drugim, z dnia 4 lutego 1945 roku, „Gazeta Rzeszowska” drukuje wieść: Obywatele, Warszawa wolna!

Pewnego wieczoru, był to maj 1945 roku, w Komitecie Wojewódzkim PPR, mieszcącym się wówczas w małym budynku przy ul. Świerczewskiego w Rzeszowie, zapadła decyzja, iż miasto otrzyma swój własny dziennik. Wieść ta lotem przysłowiowej błyskawicy rozeszła się wśród aktywu i, prawie

równie szybko, wśród całego społeczeństwa. Funkcję organizatora i naczelnego redaktora powierzono dr Franciszkowi BłoŃskiemu.

Kończył się etap powojennej prowizorki: po „Biuletynie Informacyjnym”, po takich wydawnictwach jak „Komunikat Radiowca” (i taki wówczas ukazywał się), wojewódzki Rzeszów otrzymywał, pierwszą w swoich dziejach, regularną codzienną gazetę.

Gdy dzisiaj patrzymy na makietę całkowicie zatwierdzonej już inwestycji bieżącej 5-latk — nowoczesnych zakładów poligraficznych, jakie otrzymają „Nowiny Rzeszowskie”, gdy oglądamy choćby potężne maszyny rotacyjne, zainstalowane w dotychczasowej drukarni przy ul. Kniwskiego, bardzo odległe wydają się te pierwsze lata, gdy „Dziennik Rzeszowski” drukowano w pomieszczeniu, w którym obecnie mieści się księgarnia Domu Książki przy ul. 3 Maja, zaś kolegia redakcyjne odbywały się z początku bądź to w Wojewódzkim Urzędzie Informacji i Propagandy, bądź też w ciastym lokaliku przy ul. Kraszewskiego. Była to praca redakcyjna jakże inna od dzisiejszej: bez harmonogramów, bez kolegium w ścisłym tego słowa znaczeniu, bez zakreślonych „ramowym planem” czynności. Do prowizorycznego pomieszczenia przy ul. Kraszewskiego przez cały dzień wpadał ktoś z aktywu, towarzysze z Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Partii Robotniczej, z Komitetu Miejskiego, i gazeta w tygu dyskusji tworzyła się na gorąco. Pracownicy składali ją ręcznie nieliczną wówczas załoga drukarni. Pierwszy numer „Dziennika Rzeszowskiego”, z dnia 13 maja 1945 roku, zawierał artykuł wstępny zatytułowany „Zamknięcie działu”, zaczynający się od słów: „Dzień 8 maja 1945 roku przejdzie do historii jako pamiętna data zakończenia jednej z najstraszniejszych wojen świata”. A numer czwarty „Dziennika Rzeszowskiego” w

wiadomościach z ostatniej chwili publikował komunikat radzieckiego Biura Informacyjnego donoszący, iż opór wojsk niemieckich został złamany ostatecznie przez wojska radzieckie na wszystkich frontach.

Ten „Dziennik” przyniósł również wiadomość o aresztowaniu Guderiana.

W porównaniu z dzisiejszymi osiągnięciami technicznymi naszej prasy, z mnogością wielokolorowych tytułów, z rozmaitymi wydawnictwami i mutacjami „Nowin Rzeszowskich” chociażby, trochę naiwne wydają się zapowiedzi „Dziennika Rzeszowskiego”, jak owa z maja 1945 roku, gdy gazeta tłustym drukiem oznajmiała, iż... ma już 6 stron, zaś do numeru setnego w sierpniu tego roku zapowiadała nowy nagłówek, którego zasadniczy akcent plastyczny stanowił rzeszowski ratusz.

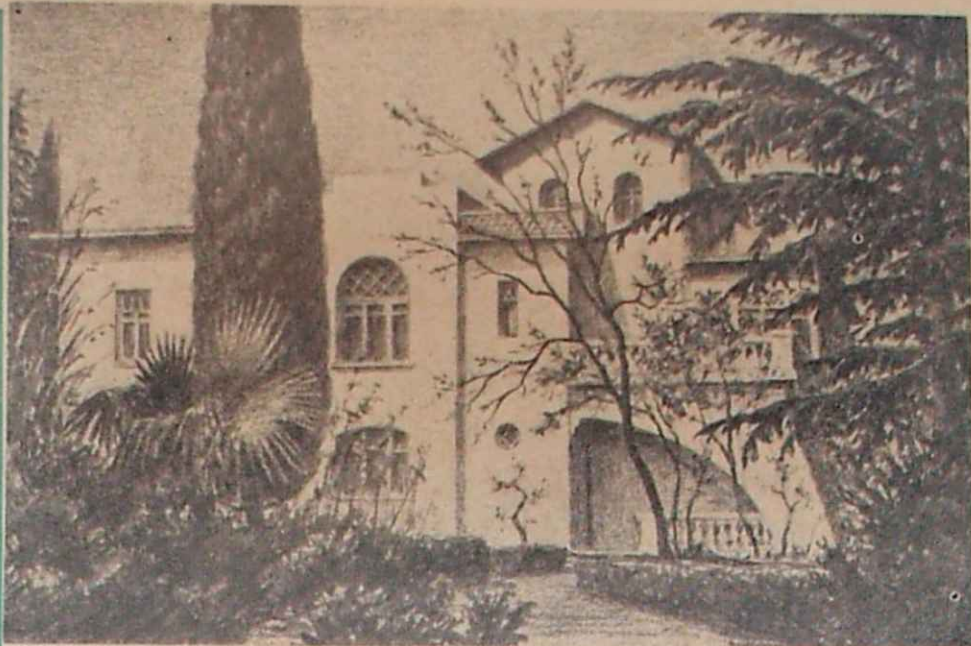
„Dziennik Rzeszowski” czynił dość śmiałe próby zorganizowania tego, co nazwalibyśmy dzisiaj siecią korespondentów terenowych: nauczycielka Jadwiga Szajowska z powiatu Lubaczów należała do pierwszych, którzy zasilali gazetę wiadomościami z terenu województwa. W niedługim stosunkowo czasie można było całą kolumnę zmnożyć z tego rodzaju korespondencji z różnych powiatów. Dla czytelników z całego województwa doniosła była wiadomość opublikowana w numerze z 12 czerwca 1945 r. pt.: Województwo rzeszowskie — faktem dokonany. Informacja określała terytoria, które weszły w skład tej nowej wojewódzkiej jednostki administracyjnej (przekształcała całkowicie nadzieje i apetyty jednego ze „starych” województw sąsiednich, które tak często niepokoiły i denerwowały młodzieńkie wówczas rzeszowskie województwo). Pod tą wiadomością „Dziennik” zamieścił wywiad ówczesnego ministra administracji publicznej Edwarda Ochaba na temat

(Dokończenie na str. 11)

Jeden haust krymskiej wiosny

(2)

MARIA BECHCZYC RUDNICKA



Willa Czechowa w Jalcie

Jalta, Dom Litfonda*) wieczór 1 kwietnia

Krymskiego blogostanu ciąg dalszy. Prima aprilis, ale dzień ten mnie nie oszukał i nie zawiodł. Tyle że sama nieco uszczupliłam jego ranek budząc się dopiero o dziewiątej: wczoraj byłam z kolegami literatami na ostatnim seansie w kinie „Spartak”, wyświetlano „Świadka oskarżenia” z fenomenalnym Lawtonem, a potem zaczęliśmy w drodze powrotnej dyskusyjnie roztrząsanie treści obrazu, w hallu willi gawęda przeskoczyła na inne tematy artystyczne i zrobiła się niepostrzeżenie godzina druga. Nawiasem mówiąc, trochę czasu zajęło uściślenie semantyczne, bo chciałam im powiedzieć, że film zademonstrował charakterystyczny proces poszlakowy, ale zapomniałam na razie, iż poszlaka po rosyjsku — ulika, natomiast poszlak to człowiek trywialny (a po polsku znowu ulikami zowią popularny gatunek śledzi!). W końcu jednak dogadaliśmy się. Kolegom radzieckim film bardzo się podobał, mnie też nie mniej niż za pierwszym razem, kiedy widziałam go w Lublinie.

A więc rano, spóźniona, wyskoczyłam z łóżka jak z procy. Miałam przecie w planie zwiedzanie Domu-Muzeum Czechowa. Zanim wsiadłam do autobusu, zajrzałam dyskretnie do wnętrza pobliskiej cerkwi. Jest czynna. Odbywało się niedzielne nabożeństwo. Wśród modlących się duża przewaga kobiet, młodzieży mało.

Muzeum, które stało się celem pielgrzymek niezliczonych rzesz czytelników, znajduje się na zachodniej peryferii Jalty, w dawnej osadzie Autka, obecnie noszącej nazwę Czechowa, położonej na łagodnym stoku wzgórza. Dzisiaj jedzie się tam między ładnymi willami, wśród sadów wyrosły murowane domki jednorodzinne, lecz w r. 1898, kiedy Czechow zaczął budować swój dom, była to dzielnica najzupełniej zaniedbana. Ale jest dobrze nasłoneczniona i osłonięta od chłodnych wiatrów, co obok tanioci placów musiało chyba zaważyć na decyzji pisarza.

Czechow lubił budować, zakładać ogrody, „zdobić ziemię”. Był wrażliwy na poezję pracy — powiedział o nim Gorki. Ze wzruszającą troską czuwał nad każdym posadzonym przez siebie drzewkiem i krzewem. W mieszkaniu, jako lekarz z zawodu „wyuczony”, zabiegał o wzorową czystość. Bardzo dbał o porządek. Żadnych spiętrzeń papierowych na tym skrom-

nym biurku, na którym powstały „Trzy siostry”, „Wiśniowy sad”, ostatnie opowiadanie „Narzeczona”. Ot — przybory do pisania, dwa podwójne świeczniki, mała waga do listów, wazonik. Przed biurkiem zwyczajne krzesło, z tyłu, w niszy — sztywna kanapa w białym pokrowcu, nad nią — liryczny pejzaż, zdaje się, przyjaciela Czechowa, znakomitego malarza Lewitana. Mimo woli myśl moja zawędrowała na chwilę do Chaty Żeromskiego w Nałęczowie. Taką samą sugestywną siłą przedmiotów codziennego użytku. Te domy-muzea mają to do siebie, że więcej się reaguje na nie jako na dom żywego twórcy aniżeli na muzeum związane z jego dziełem. Dzieło się zna przecie z wydawnictw. Oczywiście gabinet wzbudza uczucie czci, muszę się jednak przyznać, że z nie mniejszym przejęciem oglądałam oszkloną werandę, gdzie spędzał pisarz godziny dżdżyste. Sypialnia. Tu można sobie wyobrazić, jak w noc bezsenne myślał o śmierci, on, lekarz śledzący szybkie postępy gruźlicy. A jadalnia? Wyobraźnia zwiędającego odwarza postacie wybitnych gości Czechowa. Był kochany przez całe swoje otoczenie, przez wszystkich, co zetknęli się z nim dzięki jego piarstwu bądź działalności społecznej, czy po prostu przez przypadek życiowy. Nie tylko jego utwory — jego postać, obyczaj, sposób bycia miały niezrównany wdzięk. Przeczytałam przed chwilą relację Marii Pawłowny Czechow. Pisze ta oddana siostra i opiekunka: „W ciągu czterech i pół lat, które Anton Pawłowicz spędził w Jalcie, panował w naszej willi ogromny ruch. Garnęli się do niego ludzie nauki, artyści, literaci, działacze społeczni...” No tak, odpowiedział go Maksym Gorki, Korolenko, Bunin, Mamin-Sibirski, Kuprin, Wieriesajew — autor słynnego wyznania „Pamiętnik lekarza”, które młodzież czytała kiedyś z zapartym tchem. Gościł tu Rachmaninow, Szalopin, Niemirowicz-Danczenko, Stanisławski... Ta willa i jej wypieszony ogródek stały się w roku 1900 miejscem spotkań gospodarza z aktorami Moskiewskiego Teatru Artystycznego, kiedy zjechali do Jalty, żeby pokazać choremu dramaturgowi inscenizację jego „Czajki” i „Wujaszka Wani”. Było to dla niego podwójne święto wiosny.

Nim się obejrzałam, upłynęły trzy godziny. Opro- wadzał mnie dyrektor Muzeum, Aleksander Pawłowicz Biełoszapkin, rozkochany w swojej placówce. Jest to były absolwent literackiego wydziału Instytutu Pedagogicznego, mający do dyspozycji zasób wiadomości szczególnie przydatny w tym punkcie kuli ziemskiej, do którego podążają z różnych stron coraz liczniejsi podróżni. Największe nasilenie frekwencji — w lipcu i sierpniu. Siedemset — osiemset osób dziennie. Przewija się sporo cudzoziemców. Na 15.VII tego roku przewidziano tu konferencję uczonych z Moskwy, Leningradu, Kijowa, Odessy, Charkowa. Przewertowałam „złote księgi” Muzeum. Fascynująca lektura. Ile sławnych nazwisk z wszelkich regionów cywilizacji! Niektórzy pisarze radzieccy wpisali się kilkakrotnie (za każdym przyjazdem). Paustowski, zdaje się, szczególnie lubi ten nastrojowy przybytek.

Trudno się rozstać z Domem Czechowa, a trzeba. Jeszcze kilka chwil w ogrodzie, gdzie takie duże są cyprysy posadzone Jego ręką. Towarzyszył mi w wędrówce po ścieżkach Kasztan, piesek zmarłej w 1957 roku siostry Czechowa, nazwany imieniem czworonożnego przyjaciela samego pisarza. Spoglądając na okna pokoju Marii Pawłowny na piętrze willi, myślałam o godnym i pełnym trudów życiu tej mądrej kobiety, w cieniu wielkiego człowieka. To ona była założycielką Muzeum, które wkrótce po rewolucji przejęły władze radzieckie, zlecając inicjatorce dalszą pieczę nad cennym zabytkiem.

Odeszłam wreszcie, unosząc ofiarowany mi Wybór utworów A. P. Czechowa z uprzejmą dedykacją dyrektora Biełoszapkina.

2 kwietnia

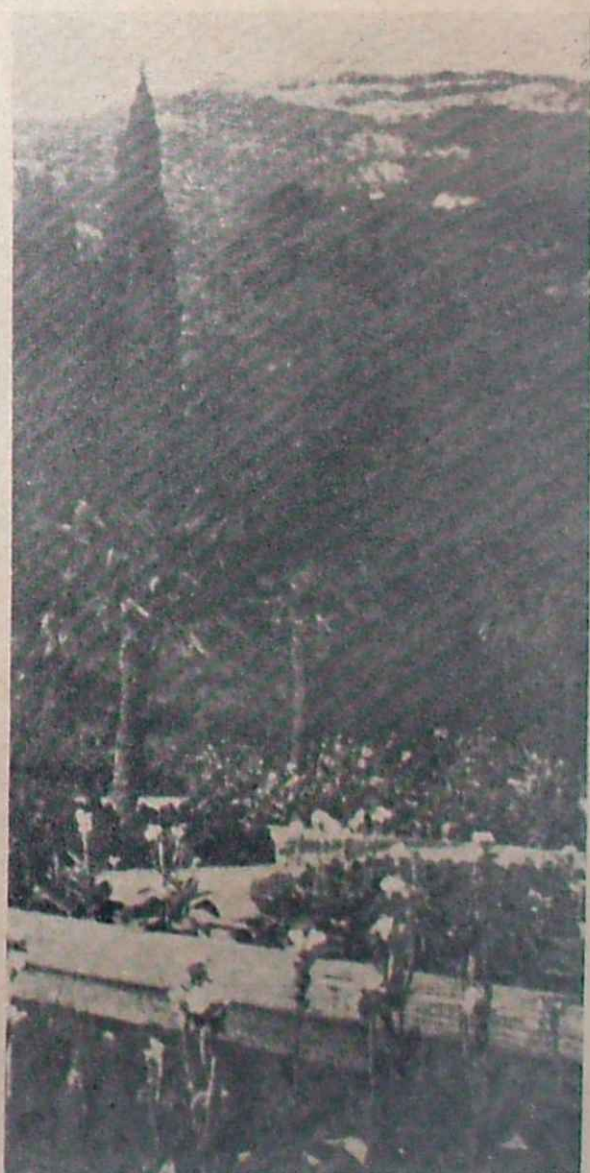
25° w słońcu, a słońca w bród. Pogoda jakby na zamówienie wycieczkowiczów. Wykonuję więc plan. Autobus do Nikickiego Ogrodu wyrusza z Centralnego Rynku, we wschodniej, starszej części Jalty. Do mego celu — sześć kilometrów. Tyle używania za 20 kopiejek (4 złote), bo na trasie moc pięknych widoków: na prawo bez przerwy intensywny błękit Morza Czarnego, na lewo — burozielone stoki Gór Krymskich, ukwiecone chusteczkami pracujących w winnicach kobiet. Zresztą tak już ukształtowała natura ten szczęśny półwysep, że tu raczej brzydota

byłaby czymś osobliwym. Tu piękno obowiązuje też ludzi.

Nikicki sad. Podobno otrzymał takie miano dlatego, że powstał koło wsi Nikita. Ale dlaczego więc nazywa się Nikita, tego już nie wiem — nomenklatura miejscowości jest dziedzina, w której zawsze babka na dwoje wróżyła. Małżeństwo z tym. Kupiłam sobie w kasie kolorowy plan z ponumerowanymi klombami i boskietami, ale wolałam wałęsać się na chybili-traffic. Wychodziło to bezpłatowo w stu procentach, ponieważ Państwowy Nikicki Ogród Botaniczny był dla mnie podwójnie terra incognita: primo, znalazłam się w nim po raz pierwszy w życiu, a po drugie — jestem w nauce o roślinach doskonałą ignorantką. Wreszcie rozsądek przewyciężył lenistwo i w pewnym momencie przysunęłam się cichaczem do grupy wycieczkowej, którą oprowadzała bardzo kompetentna przewodniczka. Dzięki temu dowiedziałam się dzisiaj, że ogród został założony w 1812 roku przez znakomitego botanika rosyjskiego Stewena, że zajmuje obecnie wraz z użytkowymi budynkami 230 hektarów, że jest to kolosalne arboretum, w którym dla celów naukowo-badawczych hoduje się podzwrotnikowe drzewa owocowe, rośliny przemysłowe, przeróżne gatunki winogron, krzewów dekoracyjnych etc. Stewen pragnął, by zdomowilo się na Krymie wszystko to z europejskiej flory, co może przystosować się do tutejszych warunków glebowych i klimatycznych. Racjonalna inicjatywa realizowała się z początku pomyślnie, lecz w ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku działalność stacji doświadczalnej nie nadążała za postępami nauki i nawet zwykłej praktyki ogrodniczej. Ogród nie cieszył się taką popularnością, jaka by mogła się przyczynić w poważniejszej mierze do rozwoju kultury rolniczej na południu Krymu. Pewne ożywienie w pracy naukowo-badawczej i rozpowszechnieniu wyników doświadczania przyniósł rok 1912 (w związku ze stuleciem istnienia Ogrodu), ale właściwie dopiero po Rewolucji Październikowej placówka, której osiągnięcia i autorzytet podniosło wielu znakomitych przyrodników, uzyskała należyte znaczenie w gospodarce narodowej. Zorganizowano tu kilka działów, wyposażono nowe laboratoria, stworzono solidną bazę materialną, skompletowano wysoko kwalifikowane kadry. W roku 1936 Ogród Nikicki stał się częścią składową Akademii Rolniczej im. W. I. Lenina jako jeden z jej czołowych instytutów.

Po tym pożytecznym wstępie, powiedzianym pod parasolem włoskiej pinii, obywatelka cicerone pokazała grupie, do której się przemyslnie włączyłam, kilkadziesiąt efektownych okazów zaaklimatyzowanych tu roślin. W Ogródku Nikickim prosperuje około dwóch tysięcy odmian botanicznych, zwiędający może obejrzeć tylko nikłą część tego bogactwa, jeśli nie chce paść trupem ze zmęczenia. Z tym rzeczy się mają nie przymierzając jak ze zwiedzaniem Luwru, gdzie zdyszany turysta-laik pędzi przede wszystkim do Giocondy i Wenus mилоńskiej, do Raphaella czy Murilla. Dla mnie bezkonkurencyjną nikicką pięknością była Sequoia kalifornijska. Posadzona w krymskim ogrodzie botanicznym pod koniec zeszłego stulecia, ślicznotka ma dzisiaj 36 metrów wzrostu, w średnicy zaś — 1,8 m. Jest to jeszcze

(Dokończenie na str. 10)



Państwowy Nikicki Ogród Botaniczny

ZDZISŁAW POPOWSKI

Pokolenie

Twój ojciec, synu, wiersze pisze,
lecz skąd to przyszło
dziś nie pomnę.
Myśmy spuściznę romantyczną
przejęli w kształcie, barwie, tonie.

Może to było przed wiekami —
w słonecznym mieście, gdzie kasztany
tak kwitły, jakby ktoś zapalił
srebrne i złote kandelabry.

Twój ojciec, synu, świat zamienia
w gorący klejnot wzruszeń prostych,
bo my jesteśmy pokoleniem
i nienawiści, i miłości.

Bo my jesteśmy z tych co idąc —
dźwigali gwery i pepesze,
gdy ziemia była jak poligon,
a serca? Serca jak fortece.

Twój ojciec, synu, czas zuchwały
utrwała jeszcze w rytm klasyczny.
Ty pójdziesz dalej, by ocalić
to wszystko, czego wróg
nie zniszczył.

* Z przygotowanego do druku zbioru „Srebrne lichtarze”.

BYŁEM SPRAWOZDAWCA SPORTOWYM

KONRAD BIELSKI

ROK 1925, a właściwie już druga połowa 1924 r. — to okres, w którym u mnie dużo rzeczy się działo. W tym to czasie skończyłem uniwersytet, na te lata przypada wszystko najważniejsze, co jest związane z „Reflektorem” oraz dużo innych mniej lub więcej istotnych, lecz zawsze interesujących zdarzeń.

Pragnąłem tu napisać o moich pracach zarobkowych, które były różnorodne i ciekawe. Dały mi nie tylko solidne podstawy materialne, ale pozwoliły również zetknąć się z niejednym nowym dla mnie warsztatem, a przede wszystkim niecodziennymi ludźmi.

Od jesieni 1924 r. urządziłem się do pracy. Otrzymałem dużo i nieźle płatnych korepetycji. Usilna praca nad opanowaniem jak najlepszym języka łacińskiego zaczęła dawać zadowalające rezultaty. Liwiusza czytałem swobodnie, jak polską książkę, a i z Tacytem dawałem sobie nieźle radę. Próbowałem nawet poetyckich przekładów poetów rzymskich. Sporo wierszy Catullusa przełożyłem. Ten poeta bardzo mnie pasjonował. Marzyłem o antologii: Catullus — Tibullus i Propertius — w moim tłumaczeniu. Jak wiele innych, tak i to marzenie nigdy nie zostało spełnione.

Dobra znajomość łaciny dawała mi liczne korzyści i tak się złożyło, że przeżywałem u niej. Moje uczennice były to na ogół ładne, młode dziewczęta, mile i wesołe, tak że samo obcowanie z nimi nie należało do przykrości. I to mi umilało tę bardzo ciężką w gruncie rzeczy pracę.

Uczyłem też w żeńskiej szkole prywatnej Wacławy Arciszowej, w zastępstwie chorego wówczas Stanisława Czechowicza. Z nami nie miałem zadowoleniem zasiadłem na katedrze i w dwóch niższych klasach zacząłem wtańczać około setki młodziutkich dziewcząt w arcana gramatyki i składni łacińskiej. Bardzo miłe wspominałem tę szkołę, grono nauczycielskie i moje uczennice.

Wszystko to razem dawało wcale nieźle dochody. Ponieważ jednak korepetycje było to zajęcie sezonowe — przy końcu roku szkolnego natłok, a na początku i podczas wakacji mało, albo i nic — rozglądałem się za inną jeszcze, bardziej stałą pracą, byle nie związaną z biurkiem i urzędowaniem. Wtedy to zapoznałem się z dziennikarstwem.

W „Ekspreście Lubelskim”, którego redaktorem był mój przyjaciel, tamy zawsze stały otworem dla chętnych i umiejących pisać. Wybrałem sobie dział sportowy. Ten rodzaj pracy był specjalnie wygodny, gdyż największe nasilenie przypadało na okres letni i jesienny, wtedy właśnie, gdy moje dochody z belferki osiągały swój punkt najniższy. Zacząłem więc chodzić regularnie na wszelkiego rodzaju zawo-



IMPREZA PRZYJAŹNI

W ostatnich dniach czerwca i w pierwszych dniach lipca br. Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej pod kierownictwem Wandy Kaniorowej wziął udział w organizowanym w tych dniach „Święcie Pracy” w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Tegoroczne „Dni Pracy” w NRD obchodzone były szczególnie uroczyste. Występowały zespoły z Afryki, Ameryki, Finlandii, Czechosłowacji i nasz zespół jako jedyny z Polski.

Zespół wystąpił dwukrotnie w Lipsku i Magdeburgu. Występy jego spotkały się z serdecznym przyjęciem ze strony niemieckiej publiczności. Obejrzało je kilkanaście tysięcy osób. Widowisko „Jak obyczaj stary każe”, pokazane na drugim spektaklu w Lipsku, mimo dużej konkurencji zespołów zawodowych (występowały wówczas zespoły z Kuby i Czechosłowacji), wzbudziło tego wieczoru największe zainteresowanie widzów. Wysoki poziom tańca i śpiewu wzbudził prawdziwy zachwyt.

Wyjazd ten nie tylko przyniósł sukcesy zespołowi i zaszczyt dla Lubelszczyzny, ale spełnił także doniosłą rolę w popularyzacji naszego folkloru, dla lepszego wzajemnego poznania się i zbliżenia między narodami.

dy sportowe i pisać odpowiednie sprawozdania. O ile na początku te moje artykuły były bardzo amatorskie i miały właściwie charakter takich impresyjek literackich na tematy sportowe, to w miarę czynienia stałych obserwacji, no i niekonczących się rozmów, prowadzonych przed meczem, po i w czasie meczu, nabrałem niezbędnych wiadomości, a moje pisanie stało się już fachowym sprawozdaniem. Najważniejszą rzeczą było nauczyć się patrzeć. Gdy pierwszy raz zasiadłem na trybunach, widziałem tylko piłkę i bezładnie biegających graczy. Z czasem nauczyłem się widzieć każdego z dwudziestu dwóch zawodników z osobna, rolę, jaką ma do spełnienia, i jak się z tego wywiązuje. Kiedyś po latach przeczytawszy przypadkowo jedno takie sprawozdanie, sam się zdziwiłem, jaki to wtedy byłem znawcą.

Oczywiście w Lublinie najwięcej zwolenników miała piłka nożna. Trzy były najważniejsze kluby, których drużyny walczyły stale o prymat. Wojskowy Klub Sportowy (WKS), Akademicki Związek Sportowy (AZS) i cywilny Klub „Lublinianka”. Najlepsze boisko posiadali wojskowi, początkowo przy ulicy Lipowej, obok cmentarza, później za szpitalem wojskowym w śródmieściu, tam gdzie dzisiaj znajduje się Dyrekcja Kolei. Na tych boiskach odbywały się zasadniczo wszystkie ważniejsze zawody, gdyż inne kluby własnych nie miały, trenowały i rozgrywały pomniejszych wagi mecze na łakach nad Bystrycą lub na jakimś wolnym placu za miastem. Taki stadion, jaki ma dzisiaj Lublin na Wieniawie, ówczesnym sportowcom nawet w snach się nie marzył.

Zrozumiałe, że wojskowi posiadali, oprócz własnego boiska, wszelkie inne potrzebne środki i pomoce, toteż WKS początkowo dzierżył prym we wszystkich prawie konkurencjach sportowych, a przede wszystkim w piłce nożnej. Akademicy, którzy utrzymywali się z dobrowolnych składek, skromnych dotacji i wpływów za bilety, mieli dobrych lekkoatletów i niezłych piłkarzy. Była to młodzież inteligentna, ideaowa, ale nie tylko kiepskie warunki materialne, lecz i płynność kadr stała na przeszkodzie osiągnięcia lepszych wyników.

Te drużyny i jeszcze kilka innych, wśród nich parę ambitnych żydowskich, grały między sobą mecze towarzyskie i o mistrzostwo okręgu. Najlepsza wchodziła do grupowych rozgrywek o mistrzostwo Polski. Przyjeżdżała wtedy do Lublina Cracovia lub Pogoń lwowska, i ku przerażeniu kibiców entuzjastów, lokalne sławy dostawały straszne cieżki.

Tak bywało, dopóki na czoło nie wysunęła się Lublinianka. Historia i powodzenie tej drużyny to też cieka-

wy obrazek na tle ówczesnych stosunków. Była to właściwie improvisacja i fantazja kilku ludzi, którzy lubili sport i mieli trochę pieniędzy do wyzucia. Dr Jan Arnsztajn i adwokat Stanisław Kuczewski — oto dwa główne filary i opatrność finansowa Lublinianki. Byli zapewne i inni, lecz tych dwóch znałem i widziałem, że tak powiem, w akcji.

Arnsztajn, wśród wielu zainteresowań życiowych uprawiał też sport i to z wielką pasją. Sam grał świetnie w tenisa, ale i wszystkie inne gry bliskie były jego sercu. Jako lekarz dobrze zarabiał, przeznaczył więc trochę grosza, sporo pracy i inwencji dla utworzenia w naszym mieście dobrego klubu sportowego. Adwokat Kuczewski to postać w Lublinie niesłychanie popularna. Sniady, ognisty brunet, z bielmą na jednym oku, znany z nieokiełznanego temperamentu. Myśliwy, koniarz, automobilista i przysięgły, zapalony kibic wszelkich sportowych zawodów. Jedną miał jeszcze właściwość. Pieniądze się same do niego garnęły, a on je w sposób niebywale lekkomyślny trwonił. W okresach szczytowych było wszystko: samochód najmodniejszy, zagraniczne strzelby, bilard, karty, wino i dziewczyny — a potem plaża, wierzyciele, komornicy, licytacje itp. Z czasem znów się odgrywał, ale zawsze na krótki czas. Otóż w takiej chwili wszechstronnego powodzenia wyjątkowo wydał część pieniędzy z sensem, na tę Lubliniankę, którą zawsze żarliwie protegował.

Niestety, nie znam bliżej kulis tworzenia się i desekonalenia tej drużyny oraz nazwisk ludzi, którzy tam jeszczełożyli swój trud a zapewne też i pieniądze, — ja podziwiałem już tę drużynę w akcji. Szczęśliwym trafem znalazło się w Lublinie kilkunastu młodzieńców bardzo sportowo utalentowanych. Byli tam i robotnicy (jak słynny lewoskrzydłowy Król), byli inteligenci, jak Stefan Kucharzewski, Moszyński i inni. Wyśmienitym bramkarzem był Eugeniusz Waleszyński, później słynny malarz, następca jego, jeszcze wtedy młodzieńki, uczeń Tomek Gołębiowski. Ci wybitnie uzdolnieni i w dodatku pełni entuzjazmu chłopcy, wsparci doświadczeniem i pracą starszych — utworzyli drużynę, która w okręgu lubelskim nie miała równych, a i wielu renomowanych gości otrzymywało zasłużone łanie.

Szczytem powodzenia była rozgrywka o mistrzostwo Polski w grupie wschodnio-północnej. Lublinianka łatwo pokonała mistrza okręgu wileńskiego, a słynna Pogoń lwowska, która była wtedy u szczytu formy, z wielkim trudem wywalczyła sobie nikłe zwycięstwo. Pamiętam również występ w Lublinie wiedeńskiego „Hakoahu”, który wtedy po zwycięstwach nad zawodowcami angielskimi, ucho-

dził za jeden z najlepszych zespołów Europy. Lublinianka wprawdzie przegrała, ale nawiązała walkę równą i wyszła z honorem, chwalona również przez sławnych gości.

Z innych galei sportu Lublinianka miała dość silną sekcję tenisową, gdzie grał dr J. Arnsztajn, podówczas niepokonany, ale już rośli jego przyszli zwycięzcy.

Wszystkie te sławne boje uwieczniałem w sprawozdaniach w „Ekspreście”.

HELENA PLATTA

Z cyklu „Ziela lubelskie”

Karagana

Idziesz podłęsną drogą
do Zemborzyce,
a tu — maj już przed tobą był —
naturalnie, że: niebo, obłok
i pył.
Stopa podbija piasek,
po sosnach osiada kurz,
nad rowem wyrwa omdlewa
i powój w niej kipi jak bluszcz.
Stań tu, gdzie krzaków straż
i bzy zdziczałe się trzęsą,
z zielonego przęsla
kwiat karagany spadł.
Karagana — karawana,
dziwna, żywa, akacjowa,
— białe niebo, piasek w rowach,
a z motyli —
jej korona.
W słońcu — żagiel kwietny
jako łódź w stepów szlaku
kwiat żegluję w wietrze wietrznym
łosem ptaków.
Oderwany od podłoża, gdzie korzenie
krzew zaczęły
między niebem i ziemią
dzis mu — lepiej.

Piołun

Rozdziobał kściełce błotny
nad rowami płaskie ziele,
płachtą płewa spał pod płotem
skryty w rowie Piołun.
Jednym okiem gorzko błyskał
po garbatych korzeniach,
drugim — zezem patrzył w otchłę,
a mech tehtał wilgocią słotną
w nocy z piątku na niedzielę.
Kiedy podniósł się i został
i rozpryskał wokół siebie
kściełcecowe wypłuczyny,
zgorzkniał całkiem —
potem prał
w rowie błotnym,
w piasku — winy,
gorzkie winy,
ciężkie winy —
wypłone, leśne grzechy miał.

WSPOMNIENIE

(Dokończenie ze str. 3)

Majdankiem, w roku 1946 jest członkiem zarządu Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, wygłasza liczne odczyty, bierze udział w pracach zespołowych literatów. Rok 1948 przynosi mu nagrodę naukową Wojewódzkiej Rady Narodowej za całokształt pracy naukowej, a szczególnie za ostatnie dzieło o renesansie i baroku.

W roku 1950 zostaje powołany na członka Komisji Historii Oświaty Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Wybór ten przyjął jako zaszczytny dowód uznania, poczytując udział w pracach PAU za najcenniejszą nagrodę ze wszystkich, jakie dotychczas otrzymał.

Ksiądz dr Ludwik Zalewski zmarł w dniu 7 lipca 1952 r.

Okazało się, że zostawił sporo rękopisów prac przygotowanych do druku lub fragmentarycznych, niewykończonych oraz pamiętnik osobisty.

Feliks Araszkiewicz

SKROMNEMU diakonowi cerkwi św. Mikołaja na Kremlu, Iwanowi Fedorowiczowi ani śniło się zapewne, że imię jego wspominać będą po latach w odległej Polsce, że nazwisko jego przejdzie do dziejów kultury polskiej. Nawet wówczas, gdy już opanował sztukę drukarską i wspólnie z Piotrem Mściśławcem składał pracownice tekst „Apostola”, nie myślał nie tylko o sławie, ale i o opuszczeniu kiedykolwiek rodzinnych stron. Był jednym z tych skromnych drukarzy cerkiewnych, którzy pod praczami swoimi nie podpisywali się nawet pełnym imieniem i nazwiskiem. Wspólnik Fedorowicza bardziej był w kunszcie drukarskim zaawansowany, prawdopodobnie praktykować musiał u Franciszka Skoriny, działacza społecznego i kulturalnego, założyciela pierwszej drukarni na Białej Rusi. Znaczący dopatrują się również niedwuznacznych wpływów innego prekursora drukarstwa w krajach słowiańskich mianowicie Bożydara Wukovića.

Pozostawmy jednak spory i hipotezy na te tematy uczonym, a zajmijmy się raczej dziejami tych dwu mimowolnych prekursorów sztuki drukarskiej na Podlasiu. Mimowolnych, bo ani Mściśławiec ani Fedorowicz nie mieli zamiaru nigdy przyjeżdżać w te strony. Zmusiło ich do tego wyższe duchowieństwo prawosławne po wydaniu „Czesosławca”. Drukarze nie uczestniczyli już w uroczystym akcie... spalenia na stosie „heretyckich” ksiąg. W obawie zarówno przed zwierzchnikami duchownymi, jak i przed konsekwencjami, jakie by mogli wyciągnąć wszechwładny a niezrównoważony Iwan Groźny, obaj uciekają do sąsiedniej Litwy. Było to w roku 1566, a więc zaledwie w dwa lata po ukazaniu się pierwszego ich wspólnego dzieła.

Oblierając terytorium Litwy Fedorowicz z Mściśławcem liczyli być może na opiekę i pomoc ze strony Skoriny, choć nie jest pewne, czy jeszcze w tym czasie żył (ur. 1490, dokładnej zaś daty śmierci nie znamy), musieli się rów-

niez orientować, że panowały tu o wiele bardziej liberalne rządy niż w Księstwie Moskiewskim. Nie zawiedli się w swych nadziejach na znalezienie opiekuna, choć nie myśleli zapewne przedtem, że będzie on aż tak możny. Przybyłych z Moskwy uciekinierów przeganał Hrehory Chodkiewicz, hetman wielki litewski, właściciel olbrzymich posiadłości, między innymi Zabłudowa, Supraśla, Gródka (nad Supraślą) i Puszczy Błudowskiej.

Ucieczka drukarzy rosyjskich, jakkolwiek gwałtowna, nie była bezplanowa. Musieli być uprzedzeni o ataku władz cerkiewnych, gdyż zdążyli zabrać ze sobą nie tylko część nakładu obu „heretyckich” dzieł ale także narzędzia drukarskie i matryce pism. Dzięki tej zapobiegliwości już w dwa lata po opuszczeniu Moskwy zakładają własną oficynę w Zabłudowie i zaczynają tu pracę na nowo. W roku 1569 ukazują się „Ewangelie”, a w rok później „Czesosławiec” z Psalterzem. Ta ostatnia pozycja była już wyłączną zasługą Fedorowicza, gdyż Mściśławiec z niewiadomych przyczyn wyjechał wcześniej do Wilna. Ale i Fedorowicz nie pozostał długo w Zabłudowie. W dalszym ciągu prześladowa go pech: Hrehory Chodkiewicz odmawia banicie dalszej protekcji. W 1573 roku wyjeżdża Fedorowicz do Lwowa, gdzie po pewnym czasie odzyskuje łaski Chodkiewiczów, ściślej Chodkiewiczowej, bo hetman wielki litewski już nie żył. Opuszczając Podlasie zabrał ze sobą drukarz tylko trochę nakładu obu ksiąg i drzeworyty, reszta drukarni pozostała w Zabłudowie.

Tę to drukarnię wraz z przywiezionymi z Moskwy czcionkami otrzymali w końcu XVI wieku protegowani od dawna przez rodzinę Chodkiewi-

czów Bazylianie suprascy, którzy zdążyli już dobrze w pierze porość od 1500 roku, tj. od chwili założenia w Supraślu klasztoru. Przywilej na drukowanie ksiąg był jeszcze jednym dowodem łaski królewskiej dla wiernych sojuszników w dziele nawiązania unii religijnej, zarazem zaś jeszcze jednym narzędziem propagowania tej unii. Nie też dziwnego, że w pierwszym okresie istnienia supraskiej drukarni ukazywały się tu przede wszystkim druki o treści religijnej przeznaczone dla unitów. Drugie miejsce zajmują druki cerkiewne, później pojawiają się księgi przeznaczone dla starowierców.

Prawdziwy rozkwit oficyny supraskiej zaczął się jednak dopiero w początkach wieku XVIII, kiedy zapobiegliwi Bazylianie założyli papiernię. Produkcję papieru wydzierżawili najpierw fachowcom, jakich można było wówczas znaleźć, zastrzegając sobie jedynie prawo do znakowania papieru herbami kolejnych archimandrytów. Umowa o dzierżawę miała również nieodmiennie klauzulę, że pewna część produkcji będzie bezpłatnie przekazywana klasztornej drukarni.

Oficina ta z nazwy już tylko była klasztorna, gdyż tłoczono tu przede wszystkim druki świeckie i to nie były jakie. Obok tak modnych wówczas „Zalów nad żalami” na zgony różnych wysoko postawionych osób, obok „Kłuczy prognostykarskich”, ukazywały się tu druki naprawdę pożyteczne, a wśród nich pierwsze polskie wydanie „Cyda” i „Podróży Guliwera”, prace z zakresu ekonomii, strategii, pedagogiki. Druki z Supraśla należą dziś do rzadkości, największy ich zbiór ma biblioteka w Kórniku, kilka egzemplarzy można też znaleźć w samym Supraślu, ale na pod-

stawie tych nielicznych zachowanych egzemplarzy trudno dziś mówić o całej działalności wydawniczej Bazylianów.

Drukarnię supraska spotkał los wielki placówek kulturalnych, które po trzecim rozbiore Polski znalazły się pod panowaniem pruskim (część Podlasia jako tzw. Prusy Nowo-Wschodnie znalazła się na pewien czas pod panowaniem Prusaków). Zaczęło się niby niewinnie od konkurencji starej firmy wydawniczej z nową, założoną w Białymstoku przez Jana Jakuba Daniela Kantera, drukarza jego królewskiej mości. Nowa firma miała wprawdzie poparcie władz, ale nie miała tradycji, nie też dziwnego, że jej właściciel, który sadził, iż będzie wyrocznią w nowo podbitym i rzekomo zacofanym kraju, znalazł się wkrótce w obliczu bankructwa. Ostatecznie z drukowania zarządzeń rządowych oraz jednego rządowego czasopiśma nie można było żyć, zmusić zaś ludzi, aby przestali drukować w Supraślu, można było w jeden jedyny sposób: przez likwidację renomowanej firmy.

Pierwszym krokiem zmierzającym do tego było wydanie zakazu drukowania w Supraślu ksiąg świeckich oraz poddanie ściślejszej cenzurze rządowej także druków kościelnych. Kiedy i to nie pomogło, bo stara firma wydawnicza kpiła sobie z zarządzeń i omijała je skutecznie, drukując na kartce tytułowej nazwy... innych miejscowości, wydano nakaz likwidacji drukarni, wszystkie zaś urządzenia natychmiast sprzedano drogą licytacji. W ten sposób po przeszło dwu wiekach oficyna podlaska przestała istnieć. W parę lat później na moce układu zawartego w Tyliczu Supraśl znalazł się poza terytorium Prus, ale drukarni już nie wskrzeszono. Zresztą, nowy władca, car rosyjski nie był zainteresowany w tym, aby dawne ognisko polskości odżyło. Anemicznym dziedzicami działalności Supraśla były niewielkie drukarnie białostockie, mające znaczenie lokalne i służące przez wiele lat za narzędzie likwidacji polskości Białostoczczyzny.

DZIEJE SUPRASKIEJ OFICyny

RYSZARD KRASKO

CARL SANDBURG

Trzy

Jako brzdąc usłyszałem trzy czerwone słowa, za które tysiące Francuzów marło na ulicy: Wolność, Równość, Braterstwo — a ja się pytałem, dlaczego za te słowa ludzie umierają.

Byłem starszy: brodacze z wypiekami na twarzy uczyli mnie, że są trzy słowa ze złota: Matka, ojczyzna i niebo, a inni znów starcy twierdzili, że Bóg, że Równość i Nieśmiertelność — śpiewali te trzy słowa z głębokości płuc.

Niby blask meteorów zagasiły ich słowa, a z wielkiej Rosji wzeszły trzy wyrazy, robotnicy chwycili za karabiny i szli umierać za — chleb, pokój i ziemię.

I spotkałem marynarza ze Stanów Zjednoczonych, miał twarz jak skórę, na kolanach miał

[wytatuowaną dziewczynę — pamiątkę z portu, gdy opływał ziemię, i ten mi rzekł: powiedz trzy zdania, którymi wszędzie się obejść: „Daj mi talerz szynki z jajkami”, „Ile to kosztuje?” i „Czy mnie kochasz, luba?”]

Cadenza

Kolana
tej dumnej kobiety
to kość.
Łokiec
tej dumnej kobiety
to kość.
Letnie białe gwiazdy
i zimowe białe gwiazdy
nie ustają w krążeniu
dokoła tej dumnej kobiety.
Kości
tej dumnej kobiety
odpowiadają drzeniu
gwiazd.
W lecie
gwiazdy wypowiadają głębokie myśli,
w zimie
gwiazdy powtarzają letnie słowa.
Kolana
tej wspaniałej kobiety
znają te myśli
i znają te słowa
letnich i zimowych gwiazd.

Nienawiść

Jeden mężczyzna zabił drugiego. Mówili wzajem: „Oddałbym ci ostatnią koszulkę!”
Zabójca płakał nad trupem. Gdyby nieboszczyk [popatrzał, zobaczyłby żal zabójcy. Był to wystrzał jednej sekundy nienawiści z dziesięciu lat miłości.
Czemu słońce jest pliką czerwoną we mgle o szóstej? Czemu księżyc jest walącym się konimem... [wałącym się, walącym się... „Oddałbym ci ostatnią koszulkę!” I zabije cię, gdy mi się pomlesza w głowie.

Zachód słońca w czasie żniw

Czerwonoziłote kaluże, zachód słońca orze brudzę szóstej godziny i gospodarz w polu skończył już pracę, a w oborach są krowy z pełnymi wymionami. Spójrz, krowy, gospodarzu, spójrz, w oborach się napelniają wymiona, opuść już czerwonoziłote kaluże, słońce już orze brudzę szóstej godziny. Gospodyni śpiewa, chłopiec gospodarza gwiżdże. Myją sobie ręce w czerwonej złotej kaluży.

Spolszczył: Stefan Oreczyk

W n-rze 12 „Kamery” zamieściliśmy artykuł Wacława Gralewskiego o Carlu Sandburgu.

INSTRUKCYA

Względem pryncypalnych Punktów Religij. Obyczajów y przytoczonego Rozdziału się na Świecie.

Z PISMA ŚWIĘTEGO WYIĘTA.
OD OYCA CORCE SWOIEY DANA

J. W. W. ICHMCIOM PANSTWU
JOZEFOWI NA SOSNOWICY.
THEKLI Z ZIENOWICZOW

SOSNOWSKIM

PISARSTWU WIELKIM W.X.L.
STAROSTOM GRODZKIM BRZESKIM.
Przez Księżkę Wojciecha Kłosińskiego, Kanonika War.
Isławskiego, Kanonika Brzeżskiego, S. T. & U. J. D.
Piłarnia Apollonii.

DEDYKOWANA

Roku Pańskiego 1738.

W SUPRASLI

w Drukarni W.W. CO. Bazylianie.

KARTY TYTUŁOWA DRUKU POCHODZĄCEGO
Z OFICyny SUPRASKIEJ

CZY ZNOWU NA ROZDROŻU?

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

miłośników sztuki żywego słowa, którzy uzyskali wtedy pierwszą nagrodę, dwie trzecie i dwa wyróżnienia w kategorii młodzieży szkolnej).

Początkowo nieśmiały atak młodych recytatorów na egzaltowaną sztampę aktorską miał oparcie w tradycjach choćby takich, jak Juliusz Osterwa czy Kazimierz Wójcik, prekursorów nowoczesnego stylu nazwanego intelektualnym, wyrastającym z potrzeb

nowej awangardowej literatury lat trzydziestych.

Dziś sytuacja jest inna. Atmosfera niepokoju nie wynika z pojawienia się nowego kierunku w sztuce żywego słowa. Jest wynikiem — jak mi się zdaje — obawy o przyszłość i rozwój tej sztuki. Zdawało się, że amatorzy przełamawszy raz wyświechtany styl emocjonalny pociągną za sobą aktorów zawodowych w kierunku poszukiwań nowych środków wyrazu, że osiągnięcia ich zostaną utrwalone w sztuce i przyjęte przez społeczeństwo. Tymczasem sytuacja zaczyna być niepokojąca. Zaledwie kilku znanych aktorów zajmujących się recytacją może poszczycić się osiągnięciami na tym polu. Z Warszawy Wojciech Siemion, Stanisław Jasiukiewicz, w Krakowie Jerzy Wójcik, Leszek Herdegen czy Danuta Michalowska — wyczerpują prawie tę listę.

(Dokończenie na str. 11)

